

Od autora: Tekst jest opowiadaniem wplecionym w książkę, którą zamierzam skończyć do końca 2014 AD

Łapiąc głęboki oddech, czułem, jak pot skapuje mi z brody, drążąc strugi na skórze twarzy aż do podstawy czaszki. To był morderczy wysiłek dla każdego człowieka, nawet dla sportowca. Dlatego przestałem się już przyzwyczajać do ludzi stłoczonych w nocy na kojcach w baraku obok mnie. Mój pasiak wystawiony na siarczysty mróz zimy, przenikliwy wietrzny chłód jesieni, brud błotnistej wiosny, letnie prażące słońce, nie przypominał już nic poza śmierdzącą szmatą. Ich pachniały czasem świeżością – tak poznawałem że są nowi bo już na początku byli fizycznymi wrakami. Takich jak ja którzy przetrwali selekcję, nie tę czy się nadajesz czy nie do pracy, ale tę w czasie morderczego wysiłku przy rozbiórkach, gdy raz po raz musiałeś walić kilofem w ściany, aby ukruszyć jej kawał, raz po raz musiałeś z wysiłkiem unieść rękojeść z oskardem napinając nabrzmiałe od bólu mięśnie, i, zamachnąwszy się z mozołem czekać na drgania całego ciała, gdy kolejne uderzenie dosięgło twardej bryły, było kilkunastu.

Ustawialiśmy się na apelach wciąż w tych samych wyznaczonych miejscach z naszymi numerami – gdyby ktoś robił nam co dzień zdjęcie poklatkowo, te kilkanaście twarzy jedynie by szarzało lekko się kurcząc lub nabrzmiewając od wysiłku minionych miesięcy a zmieniała by się sceneria pół roku i migołałyby co jakiś przeistaczające się w coraz to nowsze postaci ludzi obok.

Przychodzili i odchodzili w żelaznej regule nieradzenia sobie z nieludzkimi warunkami niczym fale pływów i odpływów oceanu.

Strażnik obcierał chustą pot spod brody i na szyi, przyglądając się to mi, to pracującemu obok mnie nowemu. Nie starałem się mu pomóc, zagadać, wesprzeć - po co? Ile wytrzyma? Nie chcę więzi z kimś, kogo będę musiał zaraz pożegnać na zawsze, po co mi nostalgia? Wystarczy, że tęskniłem za moimi bliskimi. Za głosem mojej żony, Trish, za filuternym uśmiechem Percy'ego... za możliwością przytulenia ich z całej siły do swych piersi, za tym że mógłbym powiedzieć im „nigdy was nie opuszczę, zawsze was ochronię”...

W pewnym sensie tak było. Miałem taką niesłabnącą nadzieję. Odciągnąłem grupę szmalcowników od naszej kryjówki. Udając niezdarę potrafiłem jakieś stare kosze na śmieci, z łoskotem przewróciły się na ziemię – trzech mężczyzn, krążący wokół z ostrożnością ale i wyraźnym zamiarem przeszukania piwnic w starej, opuszczonej kamienicy, przestali się od razu nimi interesować.

Rzucili się w pościg.

Robiłem to co robi przepiórka, widząc drapieżnika – udawałem raną sztukę, która ślamazarnie ucieka przed polującym zwierzem, byle jak najdalej odciągnąć obławę od gniazda.

To dawało nadzieję dla moich bliskich.

Może widzieli przez szparę jak mnie gonią, może gryźli pięści zaciśnięte z emocji, ale wiem, że tak jak ich uczyłem każdego dnia, natychmiast zebrali cały nasz skromny dobytek by szybko czmychnąć do kolejnego schronienia.

Znałem ten teren jak własną kieszeń, każdą dziurę, każdy zakamarek, więc tłukła mi się po głowie cicha

nadzieja, że może uda mi się jakimś cudem wybrnąć z opresji. Już po kilku sekundach, gdy skupili się na mnie przeskakującym przez płot, gdy dopadli do siatki ogrodzenia, ciężko dysząc, miotając przekleństwami, gdy wiedziałem, że zajęli się już tylko myślą złapania mnie i nic innego nie było teraz dla nich istotne, zacząłem pokazywać swoje prawdziwe możliwości.

Gdy wspinali się i przeskakiwali parkan, zacząłem biec w stronę zarośli na kolejnym podwórku z równie zaniedbaną fasadą kolejnej kamienicy przylegającej do tej w której się ukrywaliśmy. To był krótki odcinek, jakieś 10 metrów betonowego, wykruszonego od starości podjazdu, zakończonego kolejną siatką płotu zarośniętą zdziczałymi krzewami jałowca. Niestrzyżone kule zieleni wystrzeliwały w niebo rozrzuconymi gałęziami pełnymi szpilkowatych listewek. Gdy wpadłem między nie słyszałem ciężkie kłapanięcia stóp zeskakujących z pierwszej siatki. Musiałem się spieszyć bo jak przypuszczałem, przedzierając się przez te igliwia stracę cenne sekundy, gdy napastnicy mieli tylko kilka metrów do przebiegnięcia i złapania mnie. Nie zważając na bolesne smagania gałązek, ukłucia igiełek, mrużąc powieki aby nie oberwać w oczy, gwałtownie wbiłem się między krzewy chwytając drapieźnie dłońmi za siatkę płotu.

Tuż za mną, coraz bliżej słyszałem chrapliwe dyszenie pierwszego z goniących.

Podniosłem wysoko nogę, aż zaboląły ścięgna od raptownego podciągnięcia, wbijając but w metalowe oczka.

Oddechy tamtych był już gdzieś półtora metra ode mnie.

Podciągnąłem się szybko na rękach i lewej nodze przerzucając prawą na krawędź płotu.

Pierwszy z goniących rozgarniał gwałtownie gałęzie, widziałem odwróciwszy się na ułamek sekundy jego ręce i pełne triumfu oczy.

Chwycił mnie lewą ręką za nogawkę.

Natężając wszystkie siły, wyszarpnąłem ją z jego uścisku i przerzuciwszy nogę na drugą stronę w ostatnim momencie, tuż zanim jego prawa ręka nie chwyciła mnie za koszulę, zeskoczyłem po drugiej stronie parkanu.

Upadłem na gęstą zielen trawy na metrowej szerokości murawę, pochyloną w dół pod sporym kątem. Znałem ten teren i wiedziałem, jak tu jest ukształtowany, stąd gdy nogi dotknęły ziemi ukucnąłem i przeturlałem się w embrionalnej pozycji dwa metry do przodu, byle dalej od oprawców chcących mnie do-

Wpadłem na ścieżkę rowerową i chodnik dla pieszych, boleśnie tłukąc się o odłamki brukowej kostki. Ale adrenalina robiła swoje. Skoczyłem na równe nogi, w tle słyszałem szum rozgarnianych krzewów i trzask łamanych gałązek, dziwny dźwięk wydawany przez napinaną pod ciężarem ciała metalową siatkę.

- Kurwa mać, zajebię gnoja... - słyszałem tę groźbę wyraźnie wyrzuconą z czyichś trzewi, pełnym złości i nienawiści, głosem.

Mało prawdopodobne. Chcieli mnie żywego.

Wtedy byłem cenny.

Rzeka, a właściwie szeroka struga, wiała się u podnóża ścieżki, wyznaczając w nagim terenie, pozbawionym drzew i krzewów, kierunek nurtu ginący gdzieś parę kilometrów dalej, zabudowany jedynie po prawej stronie morzem kolejnych ogrodzeń i starych budynków, których strzegły. Znad wody unosiły się lekkie mgielne opary, wkoło było pusto, był bardzo wczesny ranek.

Biegłem.

Nie wiedzieli, że bieganie było moim sposobem na wyciszenie od lat. Równy miarowy oddech wypełniający regularnie płuca zsynchronizował się z jednostajnym tupotem nóg.

Po jakiś trzystu metrach, cała trójka tamtych rozpadła się, jeden przystanął gwałtownie, pochylił tułów do przodu i opierając się rękoma o kolana łapał energicznie hausty powietrza. Kiwając głową w lewo i prawo wrzasnął zmęczonym głosem - Nie dam rady!!!

Dwaj pozostali nawet się nie odwrócili. Jeden z nich pozostał delikatnie z tyłu a ten o długość nóg pierwszy, prawdopodobnie przywódca, krzyknął do tyłu:

- Wracaj sprawdzić piwnice!!!

Teraz dopiero wpadli na to żeby się rozdzielić. Czas jaki minął dawał szansę mojej rodzinie.

Systematyczny ruch rąk, lewa prawa, tuż przy ciele, miarowe tempo nóg płasko uderzających o ziemię i wybijających się palcami, aby zwiększyć odrzut od podłoża. Stabilny oddech – wdech-wydech, jednostajny bez względu na szybkość.

To nie był szczyt moich możliwości, nie trenowałem też już długi czas, ukrywając się ale jednak ślad te-, że wzmacniałem swoje ciało, pozostał we mnie pozwalając mi mimo wszystko na bieg przed siebie bez myśli „już nie mogę, nie dam rady”.

Miałem plan odskoczyć od nich, albo nawet jak się uda zniechęcić do pościgu (oby nie mieli broni) i uciec w zakamarki, którejs z kolejnych kamienic mijanych po prawej stronie.

Jedynie to mrowienie, niepokój, że przeciwnik też nie odpuszcza.

Spojrzałem się za siebie.

Ten drugi jeszcze biegł, myślę, że zrobiliśmy już jakieś trzy kilometry, ale wyraźnie odstawał, jego sylwetka była już wielkości pudełka do zapalek.

Ale ten pierwszy był nadal za mną, kilka metrów dalej jednostajnie przebierając nogami, wyraźnie nie odpuszczał i miał możliwości równe moim. Przez ułamek sekundy zajrzałem mu w oczy – były skupione, pełne zawziętości i determinacji a na twarzy ironiczny uśmiech.

Przeraziłem się.

I wtedy wytrąciłem się z rytmu.

Ból przychodzi nagle. Można go oswoić, zignorować, polubić, znienawidzić lub też nie trawić. Ale jest obecny jako przypomnienie, że jesteśmy tylko ułomnymi istotami chcącymi przezwyciężyć swoje braki.

Patrząc do tyłu nadepnałem na jakiś mały kamyczek, stopa wygięła się na sekundę nienaturalnie w bok. Krzyknąłem niekontrolowanie z udręki zmieszanej z zaskoczeniem.

Staralem się ignorować pulsujące sztylety wbijające mi się w piętę. Wyraźnie naciągnąłem ścięgno Achillesa....

Z tyłu usłyszałem złowrogi radosny śmiech.

Próbowałem biec dalej, wmawiając sobie, że zwalczę cierpienie, że człowiek jest w stanie znieść każdy rodzaj męczarni w ekstremalnych warunkach, gdy walczy o życie, ale to tylko iluzja. Nie ma nikogo kto by nie złamał się, gdy jego receptory wyją „Przestań! Ratunku!”, gdy nic już nie ma znaczenia poza wbijającą się klinem w mózg męką. Nadchodzi taka chwila, że strapiony organizm żąda racjonalnego zachowania i poddaje się...

Przebiegłem jeszcze dwadzieścia, trzydzieści metrów z rozsadzającym głowę bólem by dopadł mnie w końcu w triumfalnym geście, przewracając mnie na ziemię energicznym pchnięciem rąk.

Upadłem na brzuch niczym Chrystus pod niesionym krzyżem, bezładnie, ciężko, zrezygowany.

Zamknął się pewien etap mego życia.

Otwierał się teraz nowy.

Przetrwać.

Przewróciłem się powoli na prawy bok.

- Nieźle biegasz białasie – Murzyn, który mnie dopadł wyszczerzył śnieżnobiałe zęby z diastemą w rozanielonym uśmiechu błyskając iskrami szczęścia z przymrużonych oczu, głaszcząc muskularną ręką łysą głowę.

Był w jasnozielonym podkoszulku z napisem I'm Boss, w czarnych szortach ze skórzanym paskiem, gdzie klamra imitowała węża wysuwającego język, młoda twarz.

- Ty też - odparowałem, przekręcając się na plecy. Nie było sensu walczyć.

Spojrzałem za niego. Drugi miał do nas jeszcze jakiś dystans ale chrapliwie oddychając już dobiegał do miejsca gdzie leżałem.

- Jestem mistrzem lekkiej atletyki stanu Connecticut. Zdobyłem złoto na zawodach 8 hrabstw. - Dumnie obwieścił, chełpliwie podnosząc głowę. – Nie znasz mnie? – spytał przypatrując mi się uważniej, szukając w mojej twarzy czy aby nie kojarzę sobie nagle jego osoby – Jestem Gordon Ramsay.

No tak, teraz przypomniałem sobie. Kiwnąłem potwierdzająco – Pamiętam, teraz pamiętam- zwiesiłem głowę, zawodowiec ze stypendium uniwersytetu New Haven. – Pamiętam jak błyszczałeś na murawie boiska zanim to całe gówno się zaczęło...

Tym razem uśmiech zniknął z jego ust, spoważniał i podając mi prawą rękę aby mnie podnieść odparł – słuchaj kolego, to nic osobistego, po prostu jest jak jest a ja muszę jakoś na siebie zarabiać...

Drugi murzyn z głową pełną dredów, młodszy, nastolatek, w dresowym stroju xxx'a, dysząc dobiegł wreszcie do nas wyraźnie wściekły. Z zaciętą twarzą ruszył na mnie chcąc wymierzyć mi cios ale Gordon, zaprotestował odgradzając mnie ręką od niego, przekrzywiwszy w jego stronę głowę energicznie nią potrząsał mówiąc – Spokojnie Maury, spokojnie! Jest już nasz i nie musimy go uszkadzać!

- Ale gnojek mi zwiewał, zmachałem się przez niego! – widać, że autorytet Gordona wiele dla niego znaczy, odsunął się pokornie jeszcze tylko puszczać mi złowrogie spojrzenie.

- Okay, przebiegliśmy się, przypomniałem sobie stare, dobre czasy, pobawiłem się trochę. - Ponownie uśmiech wykwitł na twarzy Gordona – Co to ma za znaczenie? Przynajmniej spaliłeś trochę energii w realu zamiast napażać kciukami w kontroler. – Klepnął go lekko, wyraźnie rozbawiony swoją ripostą, zewnętrzną stroną dłoni w brzuch.

Tamten nic nie powiedział skupił się już tylko na tym aby wypocząć.

- No kolego – Gordon znów zwrócił się do mnie- zaimponowałeś mi – kiwnął z szacunkiem głową – z chęcią bym z Tobą jeszcze kiedyś spróbował na poważnie... gdzie trenowałeś?

- Yale ...- odpowiedziałem zwieszając głowę.

- No tak, prawnik ...- pokiwał głową ze zrozumieniem – będzie ładna sumka...Ale jak to się stało że nigdy się z Tobą nie spotkałem na zawodach?

- To długa historia....-odparłem, w tym czasie Gordon odwrócił mnie, wykręcił do tyłu ręce i związał na przegubach plastikowy ogranicznik, na tyle mocno aby nie wyslizgnęły mi się z niego ręce a na tyle słabo abym nie czuł mocnego ucisku.

Widać było, że czuje do mnie jakiś rodzaj sympatii pomieszany z zaciekawieniem.

- Hmm – uśmiechnął się tym razem cierpko – nie mamy czasu na długie historie, musimy ciebie od-
Idziemy skąd przybiegliśmy – pchnął mnie lekko w plecy.

- Maury, zadzwoń do Clarke'a czy coś znalazł.

Maury posłusznie wyciągnął z bluzy telefon komórkowy nacisnął połączenie i po chwili już wiedzie-, że ten trzeci nie odkrył nikogo innego.

- Byłeś sam? – spytał spoglądając mi badawczo w twarz Gordon.

Tak – odpowiedziałem starając się ukryć emocje. Cieszyłem się niezmiernie szalejąc z radości w środku, że żona z dzieckiem zdołali uciec.

Gordon oczywiście na twarz wytoczył kolejny uśmiech – żona, dzieci? Dałeś im czas? – nagle zmienił się, oczy zwilgotniały, posmutniał – wiem jak to jest... - szliśmy we trzech chwilę w milczeniu, zwiesił głowę – Też miałem żonę i dziecko...

Było to dwa miesiące temu. Miesiące, które wydawały mi się wiecznością. Pierwszy tydzień przystoso-

wania się był jak wejście w wyobraźnię chorego umysłu śniącego horror. Pamiętałem twarze innych, którzy wtedy przybyli ze mną, ten obraz jako jedyny werznął mi się w pamięć, niczym bolesny kolec wbity pod podeszwę.

Po chwili zniknęli, niczym rozwiany dym z ogniska, ulatując na wietrze historii, żyjąc tak długo jak żyli ludzie ich znający i wspominający ich czyny – dobre albo złe, tytaniczne, wielkie jak skała albo złośliwie banalne, malutkie jak ziarno piasku... Pamięć innych była ich testamentem.

Ich miejsce na pryzkach wypełniali kolejni, coraz to nowsi, coraz mniej licznie – ciężko było już złapać wykształconych białych ludzi. A pozostali niekoniecznie stawali opór nowej rzeczywistości.

Bali się.

Chińczycy zajęli Stany Zjednoczone Ameryki cztery lata temu. Wykorzystali najpierw zależności finansowe, to że większość przemysłu już do nich należała, a potem ludzką piętą kolumnę, która sparaliżowała energetykę, wodociągi, przemysł żywnościowy, wojsko. Błyskawicznie opanowali strategiczne miejsca z bronią masowego rażenia, szantażując zewnętrzny świat, jak i jednostki amerykańskie stacjonujące poza granicami kraju, możliwością ataku nuklearnego na każdego, kto wtrąci się w konflikt na terenie USA.

Rosja z jednej strony cieszyła się z takiego obrotu rzeczy z drugiej knuła jak można jednak osłabić dążenia Chin do hegemonii, udając oburzoną i udając, że nie wie jak można wesprzeć partyzanckie próby odbicia Ameryki. Szok i niedowierzanie przekształciły się jedynie w protesty, wiece poparcia, ostre noty, jakies pojedyncze krwawe incydenty wobec Chińczyków ... i nic poza tym. Wszyscy się bali.

Świat muzułmański entuzjastycznie przyjął poczynania Chińczyków ciesząc się z pogńębienia USA. Zwrócili się natychmiast w stronę Izraela chcąc zmieść ich z powierzchni ziemi gdy stracił potężnego protektora. O dziwo jednak ostro zareagowali Rosjanie chcąc pozostawić w tym rejonie status quo poza tym okazało się, że Żydzi dysponują ukrytym arsenałem broni jądrowej, Iran zagroził im kontruderzeniem i... nastąpił impas. Arabowie nadal wysadzali się w powietrze z niewiernymi ale żaden fanatyk nie zdołał odpalić bomby masowego rażenia.

Wszyscy wiedzieli, że to kwestia czasu.

Wojna totalna wisiała na włosku.

Zawsze mógł znaleźć się jakiś szaleniec, chcący przejść do historii niczym szewc Herostrates...

Tylko czy po jego czynie będzie jeszcze kto miał tą historię spisywać?

Chińczycy tymczasem znaleźli sposób na skłócenie Amerykanów.

Najpierw uszczelniono granicę z Kanadą i Meksykiem, wody patrolowano dzień i noc.

Obwieszczono przy tym, że Chiny przychodzą uwolnić Afroamerykanów, Żółtych i rdzennych mieszkańców USA spod krwiożerczych rządów wykształconych białych, którzy mimo równości wpisanej w konstytucję, political corectness wtłoczonej w każdy aspekt życia są nadal masą uciśnioną. Zaczęto tworzyć obozy reedukacyjne dla białych „wykształciuchów” po których mieli dojrzeć problem Czarnych, Żółtych, Czerwonych w nowym kontekście, a nacjom nie białych lub tych białych którym przyznano bo badaniach (pochodzenie robotnicze, poglądy lewicowe itp.) wszelkie prawa do bycia obywatelami nowej

rzeczywistości, dano prawo do wyłapywania ukrywających się, mających ulec reedukacji za sowitą zapłatę ustalając cennik kto ile jest wart. Byli oczywiście tacy, wielu spośród wszystkich nacji, którzy stanęli po stronie banitów, ich przyjaciele, rodzina, zwykli ludzie zszokowani tym co się dzieje.

Ale szybko okazało się co czeka takich „buntowników”. Okazało się, że los na pozór dużo okrutniejszy niż tych którzy mieli wszak podlegać tylko reedukacji. Pokazowe procesy tzw. Ligii Sprawiedliwych próbujących przemycać białych do Meksyku specjalnym systemem podkopów żywcem wziętych z partyzanckich poczynań wojny w Wietnamie, zakończył się wyrokiem śmierci dla wszystkich w to zamieszanych z transmisją TV na cały kraj, przy 42 000 publiczności na Albuquerque University Stadium egzekucji wszystkich więźniów za „zbrodnię” pomocy wrogom rewolucji.

Zapał aby pomagać w ludziach gasł, wybierali życie w obliczu zagrożenia. Inaczej byś się zachował? Skąd to wiesz ? Czy jesteś pewny, że gdybyś widział oczy swoich dzieci, które mogły stracić ojca, dach nad głową, podstawy jako takiej egzystencji, ba nawet życie wolałbyś sprowadzać na nich zagrożenie tylko po to aby nie złapano jakiegoś znajomego, kolegi który wszak miał tylko być odizolowany, tylko zamknięty w obozie, żyć miał dalej, a tobie groziła śmierć?

Może i mimo wszystko być pomagał. Ale nie Tobie oceniać postawę innych.

Polowania zaczęły się od wybrzeża Pacyfiku po Atlantyk od gorącej granicy Meksyku po zimną linię graniczną Kanady...

Dla mnie jedyną stałą był kształt mojej garderoby z naszywką po chińsku □□□□□

Nie wiedziałem co to znaczy, te ich symbole były niczym hieroglify dla europejskiego turysty w Efezie. Wpatrywałem się nieraz w nie podczas krótkich przerw aby w tych pionowych i poziomych kreskach znaleźć jakiś sens, jakieś wytłumaczenie mojej pozycji, mojego losu a może jakąś wróżbę na przyszłość.

Zmieniało się też moje ciało – ręce napęczniały od odcisków, obrosły brudem, stwardniały. Trzy posiłki dziennie, ascetyczne, niewyszukane, treściwe ale w małych ilościach ujęły mi kilogramy dawniejszego zbytku bycia bogatym, mogącym sobie pozwolić na każdy rodzaj wyszukanego pokarmu a ciągły wysiłek fizyczny stworzył ze mnie żylastą górkę mięśni.

Co ciekawe, bywały tu chłopcy jak dąb, dawali sobie radę ale wystarczyło, że podpadli strażnikowi i było już po nich.

Tak, strażnicy. To byli chińscy chłopcy, suto wynagradzani i ślepo wykonujący polecenia. Ich gorliwość często wykraczała poza rozkazy. Dong Ken, młody osiłek o twarzy anioła był postrzelony, kapryśny nie wiadomo na jaki humor danego dnia się u niego trafi i co może z tego wyniknąć – tylko kopniak czy może strzał w potylicę? Tong Bin, niewielki, również młody bez przednich zębów zastąpionych złotymi wstawkami, mistrz kung fu był bystry, inteligentny przez co niebezpieczny – zawsze wyniuchał, że coś się może święcić i wykorzystywał to aby zabłyszczeć prze dowódcą. Najbardziej znenawidzony Tang, starszy, siwawy gość z ogorzałą twarzą, potrafił załuc drągiem starego doktora za to, że wykroczył nogą poza wyznaczone mu miejsce. Ot, tak aby przypomnieć kto tu rządzi i że trzeba trzymać się na baczności. Miał na mnie oko od samego początku.

To dzięki hazardowi.

Ukrywałem się niedaleko obozu w myśl powiedzenia najciemniej pod latarnią więc Gordon miał blisko do obozu aby odebrać nagrodę od strażników. Widać było, że dobrze się znali, że nie był to pierwszy raz, Gordon musiał być „przodownikiem pracy”, Tang pełniący akurat tego dnia rolę wartownika na bramie witał go z szacunkiem, widać, że Gordon wyrobił sobie konkretną markę.

-Ty dziś co przyprowadzić? – spytał Tang łamaną angielszczyzną patrząc się zimno na mnie jak na kawał mięsa.

-Prawnik, pierwsza klasa, najwyższa nagroda-odparł Gordon wyszczerzając zęby w kolejnym szerokim uśmiechu.

Tang taksował mnie wzrokiem obchodząc w koło w kałasznikowem zarzuconym na ramię.

-Nie mocny, prawnik może, ale nie mocny, długo nie wytrzymać...-ocenił cmokając ustami, splunął mi pod nogi.

Gordon przekrzywił głowę patrząc na mnie przymrużonym okiem, zagryzł wargę i zwrócił się do Tanga.

-Ledwo go dogoniłem a wiesz, że jestem sportowcem, wygląda niepozornie ale będzie świetnie pracował...- zawahał się przez sekundę – możemy się założyć.

Tang wyprężył się gwałtownie na słowo „założyć”, w oku błysnęły mu iskry.

-Przyjmować! – podniecony wyciągnął w stronę Gordona otwartą dłoń.

Gordon z pewnym wahaniem wyciągnął swoją ale wycofał ją podnosząc ją ku górze nad swoją głowę. Uśmiech zakwitł mu na twarzy.

-Eee ja się założę a ty go zamęczysz pracą specjalnie żebym przegrał.

Tang obruszył się. Cofnął się krok i krzyknął po chińsku do kogoś za siebie. Przybiegł jakiś kolejny strażnik w mundurze wojskowym w ciemnoniebieskim kolorze, z czapką z czerwoną gwiazdą w złotym otoku z kłosów zboża.

-Znasz Li- wskazał Gordonowi na drugiego strażnika – Li, będzie obserwator, jak ja złamać zasady, Ty dostać podwójna nagroda od razu. Ty móc gadać z prawnik czy jest tak samo traktować. Jak ja złamać zasady, ty dostać podwójna nagroda. Jak minąć tydzień a on dobrze pracować, nie lazaret, ty dostać podwójna nagroda. Jak przegrać nie dostać nic – podniecony Tang znów wyciągnął energicznie dłoń do Gordona.

Gordon powściągliwie uniósł rękę ale znowu ją zatrzymał- Obiecujesz, że będziecie go traktować jak innych? – spytał.

Tang bez słowa otworzył kieszeń na piersi, wyciągnął lewą ręką książeczkę partyjną, wysunął ją przed siebie i prawą dłoń podstawił nad nią.

-Przyrzekać na partię i głowy moich dzieci, nikt nie tknie tego nowego, ma taka sama zasada siedem dni

jak wszystkie. – głos miał poważny, uroczysty, pełen patosu.

-Okay – Gordon potrząsnął rękę Tanga jakby uspokojony –ale będę mógł go codziennie zobaczyć i pogadać –spytął jeszcze badawczo spoglądając na Tanga.

Tang kiwnął mocno, aprobująco głową – słowo honoru żołnierza Chińskiej Armii Ludowej – wzmocnił swą obietnicę.

-Przecinaj! – wskazał na mnie Gordon. Zaskoczony Tang nie oponował. Byłem już uwolniony z plastikowej opaski, rozmasowywałem nadgarstki, przyglądając się dziwnej scenie z dziwnym uczuciem wypełniającym brzuch – strach mieszał się z zaciekawieniem. Moja dłoń rozdzieliła ich uścisk.

- No kolego –Gordon zwrócił się do mnie – nie zawieź mnie! Wiem, że dasz radę. – klepnął mnie po przyjacielsku w plecy.

Dziwne, byłem ofiarą, złapał mnie traktując jako towar na wymianę, a mimo to czułem nic sympatii do niego. Może dlatego, że był w stosunku do mnie zwyczajnie normalny. Ani zbyt brutalny ani zbyt uprzejmy – miałem syndrom ofiary ze Sztokholmu?

Pierwszy dzień wbił mi się w pamięć ostrzem zdarzeń jakie toczyły się wokół mnie – wstrząs był na tyle silny, żeby to pierwsze wrażenie staowało mi przed oczami zawsze w najdrobniejszych szczegółach.

Opowieść o twardym ale godnym traktowaniu resocjalizowanych była wysrana z palca. Gdzieś tam podświadomie wszyscy to wiedzieliśmy ale na obrzeżach świadomości kołatała się myśl, nadzieja, że może to prawda. Że jesteśmy tam tylko po to aby przejść reedukację, poznać siebie z punktu widzenia innych, chcących udoskonalić nas jako jednostki, uświadomić nam wypaczenia i błędy tego w co wierzyliśmy – dekadencjonalnej postawy wiary w demokrację, pieniądź, wykształcenie...I, że dotyczy to tylko nas.

Gordon przyszedł skoro świt następnego dnia. Przyprowadził jakąś rodzinę, mężczyzna wyglądał na bankiera, z pochyloną głową stał pokornie w zakurzonej, eleganckiej markowej garniturze, jego zapewne żona, dawniej piękność, usmarowana na twarzy od brudu odgarniała nerwowo przetłuszczone włosy. Dwie dziewczynki, na oko w przedszkolnym wieku, tuliły się lękliwie do jej nogi.

Zagryzłem wargi. Chciało mi się płakać.

Nie zwracał za bardzo na nich uwagi jak i na strażnika, który ich przyjmował wyraźnie czegoś wypa-. Mnie. Gdy mnie zobaczył, uśmiech od ucha do ucha wylądował na jego twarzy. Wskazał na mnie strażnikowi, jakby chciał powiedzieć „idę do niego ok.?” tamten zdezorientowany stanął niezdecydowanie ale Gordon już zmierzał do mnie na plac apelowy odgradzony od miejsca gdzie była właściwa część obozu wysokim betonowym płotem. Stałem w kilkunastoosobowej grupie przed wyruszeniem do pracy przy rozbiórkach.

Jeden dzień wystarcza już by człowieka zmienić fizycznie. Jeden długi dzień i noc gdy machasz bez opamiętania kilofem, młotem, łopata, bez picia, jedzenia podawanego tylko w ściśle określonych godzinach. Dopiero uczyłeś się być głodnym i zmęczonym. Ale nie to w ludziach wysysało z oczu nadzieję zastępując ją rezygnacją i szaleństwem, nie to powodowało, że rzucali się z wysokości aby roztrzaskać czaszki o bruk...Nie to zabierało chęć do życia... nie to...

Rozpoznał mnie mimo, że byłem już w innym, obozowym ubraniu, miałem ogoloną głowę skrytą pod podartą chustką. Może rozpoznał mnie po gorejących oczach? Może po wyprostowanej postawie?

Już miał do mnie się odezwać już chciałem wyrzucić do niego skłębione myśli ”czy ty wiesz człowieku co robisz?! Co ci zrobiła ta rodzina ?!” wykrzyzczyć mu w twarz zbrodnię w której uczestniczył, potrząsnąć go za poły i krzyzczyć „opamiętaj się opamiętaj!!!” ale nagle jak spod ziemi wyrósł przed nami Tang. Chciałem wypluć z siebie okropieństwa jakie widziałem lecz wola przeżycia była silniejsza.

- Gratulować Gordon – wycedził – Ty wygrywać!

Tang był okrutny ale słowny. Jak obiecał tak uczynił. Jak każdy Chińczyk przykładął wagę do przyrzeczeń. Nikt mnie nie tknął, pracowałem tak samo jak inni ani lżej ani ciężiej –czyli ponad siły czując się jak Syzyf wtaczający mityczny kamień. Zrobiłem na razie 102 procent normy...

Minął kolejny dzień i kolejny... Gordon odwiedzał mnie zawsze w asyście Tanga, który pilnował aby nie zbliżył się do mnie sam. Może czuł że chcę coś powiedzieć? Tym bardziej chciałem –znaczyłoby to że Gordon nie jest niczego świadomy, naiwnie wierzy w propagandę a może nie chce burzyć takiej wizji rzeczywistości?

Co mnie trzymało przy siłach? Rodzina. Wizja mojej żony tulącej syna tęsknie wyglądającego taty...sport wykształcił u mnie upór, zahartował ducha, ukuł psychikę. Byłem jak stal, którą chcą zmiażdżyć potężne szczypce, gięły ją zmieniając jej konstrukcję ale nie potrafiły jej rozerwać...

Musiałem żyć.

Nadszedł siódmy dzień. Słońce prażyło delikatnie spracowane ciało. Staliśmy na placu apelowym każdy na swoim miejscu czekając na wyjście do pracy. Gordon pojawił się triumfalnie razem ze swymi dwoma towarzyszami znanymi mi z pościgu za mną.

Codziennie regularnie o tej samej porze, czy to z nowym złapanym czy będąc bez ofiary łapanki sprawdzał moje wyniki. 102,102,101,101,100,100 i ...

-Witaj Tang –przywitał się grzecznie – jak tam mój czarny koń?

Tang uśmiechnął się cierpko pod wąsem.

-Biegacz zrobił wczoraj 99 procent ...- Gordona wryło w ziemię - ...ale za cały tydzień 100 procent przekroczone.

Gordon roześmiał się – Och brachu ale z ciebie dowcipniś!

-Ty dostać cała nagroda, podwójna nagroda – poprawił się wymownie wbijając we mnie złowieszczy wzrok.

No tak siedem dni byłem chroniony teraz parasol miał być zwinięty. Po kiego diabła zwrócił na mnie uwagę Tanga? Byłem wściekły.

Gordon wyczuł sprawę. I zachował się jak człowiek a nie kanalia.

Wiedział, że teraz Tang zabierze się za mnie, że ta sytuacja to jak bomba z opóźnionym zapłonem której licznik zbliża się do zera.

Wziął pod ramię lekko zaskoczonego strażnika i odszedł na pewną odległość ode mnie abym nie słyszał ich rozmowy.

-Tang – zaczął delikatnie ważyć słowa, jakby zastanawiając się jak ująć sprawę aby nie spalić na panewce intrygi, wiedząc, że stąpa na kruchym lodzie – A co byś powiedział na nowy zakład? – bacznie obserwował Chińczyka.

Tamten wyprostował się prężąc mięśnie. Spojrzał się prosto w oczy Gordonowi i wyszczerzył poząłkłe zęby w zadowoleniu.

-Co proponować ? – zamarł w chytrej pozie.

Gordon rozluźnił się, rybka chwyciła przynętę – Moja propozycja, daj mi z nim się zmierzyć w biegu na 10 kilometrów, jeśli przegram podwójna nagroda jest Twoja, plus nagroda za jego rodzinę – mrugnął porozumiewawczo – Tak, znalazłem ich trop. Chciał nas od nich odciągnąć ale wiesz, że jestem uparty – uśmiechnął się z dumą – to kwestia czasu jak ich znajdę. Jeśli wygram płacisz za wszystko normalnie.

Tang z okrutnym uśmiechem pochwycił szybko na wpół wyciągniętą dłoń Gordona -Przyjmuję! – wyrzucił szybko aby Gordon nie rozmyślił się, potrząsając jego rękę, przecinając drugą dłonią uścisk z triumfującym wyrazem twarzy spojrzał na mnie z oddali wyniośle. Po chwili jednak zastanowił się czy aby na pewno zrobił dobrze nie rozważywszy co powiedział Gordon?

- Ty wygrać ja musieć zapłacić podwójna – zaczął sobie układać to w głowie – ty przegrać moja nagroda. Rodzina dodatek... - lekko zbity z tropu – Dobra ale ty mieć czas...-zaczął się zastanawiać – jedna miesiąc, jak ich nie przyprowadzić, ja wygrać. Nie przyjąć warunki nie być zakład.

- Twardo negocjujesz – skomplementował go Gordon – Ale to przecież tylko zabawa ha ha – rozbawiony podał mu ponownie dłoń na znak akceptacji.

Od tej pory miałem jak w raj.

Tang postanowił wygrać.

Zmienił się dla mnie nie do poznania. Był nawet na swój sposób miły. Odsunęli mnie od pracy przy rozbiórkach. Nie uczestniczyłem w apelach. Tang uruchomił swoje kontakty na zewnątrz i dostałem pełne wyposażenie biegacza, odżywki, ba udostępni mi salę ćwiczeń dla strażników. Szybko wyłuskał spośród więźniów lekarza sportowego, ten dostrzegł swoją szansę na polepszenie swoich warunków życia i gorliwie zajął się moja osobą też jako masażysta, dietetyk i fizjoterapeuta. Jedzenie zmieniło się na pełne protein i węglowodanów.

Codziennie trenowałem wracając do formy, powoli od stanu przeciętności wracałem na pułap mistrzowski. Tang z satysfakcją obserwował mnie niczym klacz obstawioną na torze.

Inni strażnicy też kibicowali moim poczynaniom.

Obstawiali mój czas robiąc zakłady gdy wyprowadzali mnie na bieganie. Pozwalali robić mi to tylko w obozie. Więc przebiegałem od muru do muru wewnątrz obozu mijając wciąż od nowa te same budynki, te same kępy zieleni, tylko idący na plac apelowy rano i wieczorem ludzie, zazdrośnie patrzący w moją stronę zmieniali tą stałą idącą ciągle to w nowych konfiguracjach. Jedyna zmienna w ciągu obozowego życia...

Zazdrościli mi –może złudzenia wolności? Ucieczki przed obozową rzeczywistością ? Nie wiem. Szczerze, nie chciałem wiedzieć.

Mijały dni. Tydzień, dwa. Miesiąc.

Właściwie już zapomniałem o co w tym chodzi. Rozkoszowałem się życiem obok. Strażnicy pozdrawiali mnie jak swego, Tang pewnego dnia zaczął opowiadać mi swą łamaną angielszczyzną o swej rodzinnej wsi, wyciągnął nawet zdjęcie żony i syna. Był ludzki jak powinien być każdy człowiek dla innej istoty. Ale to co widziałem nadal wracało w takich chwilach. Potworność z jaką się zetknąłem nie było wstanie zmazać nic z pamięci nawet życzliwe traktowanie. Ciągłe ściągало mnie to z obłoków beztroski. Ciągłe napawało obawą o bliskich. Dla nich muszę żyć – by o nich walczyć. Wiedziałem, że muszę przekonać do tego Gordona. Przekonać by wygrał. Widziałem w tym moją szansę na ratowanie moich bliskich.

Tego dnia biegałem od szóstej rano. Poranna rozgrzewka mięśni, rytm, oddech, krok, krok oddech. Strażnicy na wieżach wartowniczych oparci leniwie o drewniane balustrady obserwowali mnie bez emocji jak co dzień. Nagle jeden z nich odwrócił się gwałtownie i podniecony krzyknął coś do pozostałych wskazując za siebie ręką zza mur, na bramę wartowniczą. Reszta nie za bardzo mogła dostrzec co się tam dzieje ale ich kolega coś im szybko tłumaczył podekscytowany po chińsku – w potoku słów zrozumiałem jedynie „Gołdon”.

A więc nadchodził czas próby.

Ale dlaczego właśnie teraz ? Tak się umówił z Tangiem? Nie słyszałem ich rozmowy, wiedziałem jedynie, że mamy się zmierzyć na dystansie 10 kilometrów biegu.

Zaraz miałem się przekonać o co chodziło.

Strażnik z wartowni uchylił metalową furtkę w murze okalającym zabudowania obozu.

Słońce wschodzące w oddali oślepiło mnie blaskiem poranka. Przysłoniłem ręką oczy i przymrużyłem je.

Kątem oka dostrzegłem szare postaci na apelu, stojące w zrezygnowanych postawach przed Dong Kenem sprawdzającym obecność.

Na wprost dojrzałem zwalistą postać, to był Gordon. Z boku podchodził Tang. Ale był tam jeszcze ktoś, ktoś kto stał za plecami Gordona przysłonięty przez jego pomocników. Jakaś mniejsza postać, z długimi włosami i coś, nie ktoś jeszcze mniejszy, jakby dziecko... wypchnęli ich naprzód...

Zawyłem niczym wadera po stracie młodego. To było niekontrolowane – upadłem na kolana roniąc łzy z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Tang o dziwo nie zwrócił na to uwagi. Inny strażnik podszedł do mnie każąc się podnieść. Ludzie z apelu stali nieruchomo, wpatrując się w dal szklistym wzrokiem...

Gordon oniemiał. Był wyraźnie zaskoczony i oszołomiony moim zachowaniem. Otworzył niekontrolowanie usta i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Proszę, nie! - na czworakach pełzałem w ich stronę –proszę zostawcie ich! Zrobię wszystko, wszystk-!

Strażnik z wieżyczki siłą podniósł mnie na nogi. Mój syn rozpoznał mnie i uradowany chciał rzucić mi się na szyję piszcząc „Tato!!!”. Tang odgarniającym ruchem ręki zatrzymał go i pchnął w stronę mojej żony. Zbolałym wzrokiem spojrzałem jej w oczy; mimo ulgi, że mnie widzi wymieszanej z rezygnacją, że dała się złapać była przerażona.

Przerażona moją reakcją na ich widok.

Drżałem jak osika ale zamknawszy oczy zrobiłem głęboki wdech aby się opanować. Musiałem to zrobić dla mojej rodziny. Nie chciałem ich straszyć. Nie chciałem aby bali się od samego przekroczenia bramy obozu.

Tang przemówił.

-Jak widzisz Gordon złapał Twoja rodzina. Wiesz co to znaczyć. Taki był warunek nasz zakład. Jeśli przegrasz pójdą do bunkra, jeśli wygrasz pójdą pracować do kuchni.

Gordon chwycił go za ramię – O co tu chodzi? – nadal za dużo nie rozumiał.

Tang strząsnął jego rękę.

Warknął coś po chińsku do przytrzymującego mnie strażnika wskazując na budynek kantyny. Ten pchnął moją żonę i dziecko w plecy aż prawie się przewrócili. Moja żona wyciągnęła jeszcze rękę w moją stronę starając się coś powiedzieć ale strażnik pchnął ją ponownie.

Byłem bezradny. Stałem przygarbiony ze zwieszonymi rękami, czując jak świat wiruje dookoła mnie. Rzucić się na nich i zginąć aby nie czuć już tego palącego bólu rozpaczy? Ale jest przecież nadzieja. Jeśli Gordon przegra jest nadzieja dla mojej rodziny... Uczepiłem się tej myśli.

- Wymyśliłeś kolejny zakład Gordon – Tang wbił w niego pełne okrucieństwa oczy z miną pełną satysfakcji – Chciałeś ze mnie robić głupek. Ty go chronić. Ty chcesz aby traktować specjalnie. Ja go potraktować specjalnie.

Gordon chciał protestować, coś zaczął tłumaczyć, perswadować.

Tang bez słowa wyciągnął z kabury broń i bez celowania strzelił raz po raz do pomocników Gordona. Ten krzyknął z zaskoczenia.

Obaj upadli wrzeszcząc w niebogłose. Ten, który jak mnie ścigali szybko odpadł, Clark, dostał w prawe kolano. Kula roztrzaskała rzepkę, upadł na plecy i wył z bólu trzymając drżące ręce nad miejscem postrzału, kołysząc się z boku na bok. Ten drugi, w dredach, Maury, dostał w obok puszczela w mięsień, krwawiąc obficie oszołomiony zrobił dwa kroki do tyłu i upadł w szoku wybałuszając wzrok to na swoją raną nogę to na Tanga przypatrującego się z lubością tej scenie. Nie chował pistoletu i skierował go w stronę Gordona. Ten stał w miejscu, nie próbował uciekać nie spojrzał mu głęboko w oczy jakby chciał pytać „Dlaczego brachu?!”.
13

Z kantyny gdzie znikli moi bliscy wybiegło dwóch strażników z bronią w rękę. U góry na wieżach strażniczych słyszałem szcęk przeładowywanej broni.

- Ty nie wiedzieć że zrobić mi przysługa. Ty wygrać pierwszy raz z nim – wskazał na mnie lufą

- A drugi ja podkręcić stawka. Gadaj ! – wrzasnął na mnie.

Stałem oniemiały a łzy płynęły samoistnie. Zatykało mnie od myśli co może się stać.

-Proszę ocal moją rodzinę- zwróciłem się błagalnie do Gordona przyklękając na jedno kolano. Spojrzał na mnie zimno – Czy ty nie rozumiesz? – wyciągnąłem do niego błagalnie ręce – oni ich zabijają...zabijają jak wszystkich innych!

Chińczycy byli praktyczni. Mężczyźni potrzebni do pracy. Kobiety i dzieci do 15 roku życia trafiali do bunkra.

Nigdy stamtąd nie wychodzili.

Nikt z więźniów nie miał się prawa tam zbliżyć. Ale ze skrawków opowieści, z strzępów spostrzeżeń, z relacji tych co coś jednak widzieli narodził się obraz tego co działo z bezbronnymi, niepotrzebnymi rodzinami mężczyzn. Kobiety, starcy, dzieci.

Ciężarówki chłodnie nocą, pojemniki przypominające te do przewożenia organów, nikt kto wszedł do bunkra nie był już potem widziany...Ktoś tam spostrzegł palącego papierosa Chińczyka w stroju przypominającym fartuch operacyjny. Resztę dopowiedzieliśmy sobie sami.

Po co im bezproduktywne jednostki? Mają dość swoich rodaków zmuszanych aby mieć jedno dziecko. 13 milionów aborcji rocznie. Dla nich to normalne i praktyczne taki mają światopogląd, mówią o tym bez emocji, że mogą nawet usunąć płód w 28 tygodniu ciąży. A rynek handlu narządów do przeszczepu dawał olbrzymie dochody. Rogówki, nerki, wątroby itd. w sytej Europie, bogatej roponośnej Azji to dawali za nie setki euro...

Wielu z nas nie wytrzymało. Woleli zabić się niż dręczyć się myślą o swych bliskich. Nie fizyczna praca czyniła z nich psychiczne wraki tylko wyobrażenie czasem złudzenie, że widzą swych domowników prowadzonych jak bydło na rzeź.

Czy chociaż ich usypiają? Czy może szkoda im nawet paru dolarów na miłosierne potraktowanie ofiar i tną ich na żywca, bez znieczulenia, głusząc ich spazmatyczne, rozrywające siateczkę żyłek na twarzy wycia i wrzaski niewyobrażalnego bólu jakimis szmatami wepchniętymi na siłę kijem od szczotki w gardło?

Co im zawiniły te niewinne dzieci? To było ich grzechem że ich rodzice byli bogaci, wykształceni?

I tak nikt nie będzie o nich pamiętał –czasami odzywało się we mnie ponure ja próbujące oswoić to co niewyobrażalne –będą trwali póki żyją ich najbliżsi, w ich myślach i sercach...a potem wspomnienia rozlecają się jak śnieżny pył zdmuchnięty wiatrem czasu... Umrą na zawsze.

I kogo to obchodzi?

Ktoś uroni łzę, ktoś zaduma się na chwilę, by powrócić do prozy życia, codzienności która swym zega-

rem wyznacza im próg zainteresowania sobą i innymi...

Tang spojrział na mnie i szczerze się roześmiał się. Gordon stał jak zamurowany, nie wiem co bardziej przeżywał to co stało się z jego towarzyszami czy to co powiedziałem przed chwilą. Był tak naiwny, że nigdy się nie domyślił? Ilu takich jak on wyłapywało ludzi zagłuszając swe sumienie, wątpliwości powtarzaną jak mantra śpiewką wpajaną przez Chińczyków. To tylko dla ich dobra, wyjdą stąd lepszymi ludźmi.

Tylko kto wyszedł?

Tang nadal mierząc do znieruchomiałego Gordona z okrutnym uśmiechem na twarzy, najpierw napawając się emanującym ze mnie bólem, a potem widokiem skamieniałego Gordona odezwał się cedząc kolejne słowa – Ty chceś zakład, ja go jeszcze podkręcić – spauzował na chwilę by rozkoszować się tym co powie za moment- Jeśli on przegrać, on trafić do fajna praca a jego dzieciak i żona do bunkra, jeśli ty przegrać ja zabić twoich pomocników...i ciebie!

Myśli przelatujące mi przez głowę – od wielu dni ciągle towarzyszył mi niepokój, a jeśli ktoś ich w końcu dopadnie? Nadzieję, że są bezpieczni, przyćmiewał wciąż obraz, że ktoś ich nakrywa i łapie. A jeśli będzie to jakaś okrutna banda gwałcąca ich po kolei w jakimś zapomnianym przez człowieka miejscu? Takie myśli niszczyły psychikę, starałem się być silny i odpychać je jak najdalej od siebie, najgorzej było nocą... Wtedy podświadomość uruchamiała różne koszmary...I ta podświadomość chciała żeby ich złapał, jeśli już to Gordon. Wierzyłem, że będzie dla nich ludzki. Chciałem mu to powiedzieć . Dlatego miał wygrać.

A teraz uchwyciłem się tej iskielki nadziei, że mogą przeżyć, jakby to nie brzmiało absurdalnie w obliczu tego co działo się dookoła, dano mi wiarę, może i płonną może jednak nie, że uratuję ich.

I tylko ta myśl zajęła mnie teraz.

Nic nie było istotne, nic nie było ważne oprócz- wygrać wyścig.

Spojrzeliśmy sobie z Gordonem w oczy. Widziałem faceta, który nie był przerażony, wyciszył się, skupił, widział mnie już jako przeciwnika do pokonania.

Tang kontynuował – Jeśli spróbować uciec, koniec zakład, wszystkich zabić. A ten co uciec, ja dopaść i zając się osobiście – zgrzytnął zębami w niepohamowanej złości - Wy biec wzdłuż muru obóz 5 razy. To dawać 10 kilometer. Ty – wskazał łufą pistoletu na Gordona –przebrać się w swoje strój!

Gordon o dziwo uśmiechnął się szeroko – dasz mi 10 minut na rozgrzewkę? Aha w samochodzie mam torbę ze strojem i butami. Chyba nie chcesz abym biegał w tych łapciach? – wskazał na nogi obute w mokasyny i roześmiał się jak czynił to zawsze gdy powiedział coś co uważał za dowcipne.

Tang był lekko zdziwiony, może nawet zdezorientowany. Myślał zapewne, że to co zrobił i to co powiedział wywołało na Gordonie piorunujące wrażenie. A tymczasem nadspodziewanie szybko otrząsnął się z tego co widział i usłyszał.

Zmroziło mnie to.

Czy powinien zrezygnować z walki ze mną skoro zginie a ocali mnie i moich bliskich? Czy powinienem

od niego tego żądać w obliczu groźby, że Tang go zabije? Czy powinienem oczekiwać, że postąpi niczym jakiś chrześcijański męczennik i poświęci się za nas?

Nie. To byłoby nielogicznie głupie.

Ale oczekiwałem, że będzie trwale wstrząśnięty, gotowy do walki o przetrwanie ale porażony tym czego się dowiedział.

A stał jakby całkiem obojętny. Uśmiech tkwił mu na twarzy, gdy strażnik z wieży zabrał mu kluczyki od auta i z przedniego siedzenia pasażera, po wcześniejszym sprawdzeniu czy nie ma w środku broni, przyniósł kolorową, sportową torbę firmy XXX i rzucił ją Gordonowi pod nogi.

Ten bez pośpiechu zdjął patrząc Tangowi prosto w oczy jeansy i jasnoniebieską koszulę ukazując muskularne ciało. Podciągnął z tyłu bokserki i po kolei ubrał na siebie kompletny strój do biegania.

- Mogę się rozgrzać? – nie czekając na odpowiedź zaprezentował całą gamę ćwiczeń – skręty, wymachy, wznoszenie kolan, przeplatanki, podskoki, trucht i w końcu przebieżkę.

Mięśnie lśniły mu w słońcu niczym hebanowa rzeźba. Kości trzeszczały od rozciągnięć. Widać było, że był kiedyś wielki. Czuję drętwienie szczęki – nadal był w doskonałej formie. Odrzuciłem strach też zacząłem ćwiczyć. Wzbudziło to lekki aplauz niektórych strażników. Widać było, że porobili swoje zakłady kto z nas wygra. Część więc mi sympatyzowała.

Po chwili przerwali nam spektakl. Znudziło im się wyczekiwanie. Tang eskortował nas na zewnątrz z pistoletem w dłoni.

Przez moment przemknęło mi przez myśl aby się na niego rzucić.

Jaki to miało sens? Skazałbym żonę i chłopca na zemstę. Idiotyczne...

Zresztą jak bym uciekł? Wkoło obozu na wieżach strażniczych wlepiali w nas wzrok strażnicy z automatami gotowymi do strzału. Ile metrów zdołałbym przebiec po pustym terenie?

Ale myśl o tym, że zabijam tego drania była rozkoszna... ciche marzenie ...

Potem widziałem oczyma wyobraźni – pokoik snów, półmrok rozświetlany przez dyskretną nocną lampkę w kształcie globusa, cały świat zamknięty w plastikowej kuli, rzucający delikatną poświatę na postać mojej żony siedzącej na skraju łóżeczka dla dziecka. Znad kołdry wystawała tylko buźka, malutka, dziecinna twarzyczka z opadającymi powiekami okalanymi długimi rzęsami... śpiewała mu cicho kołysankę bez słów, ciągnąc wokalizę w przestrzennej nicości nocy... dotykałem jej długich włosów rozgarniając je czule, czując zapach świeżości, czując miłość ...

- Start przy bramie na wystrzał –Tang wskazał nam lufą miejsce rozpoczęcia biegu.

Drogę tarasował nam samochód Gordona, czarny furgon z napędem na cztery koła, z baterią światełszperaczy nad kabiną. Strażnik, który zabrał klucze aby wziąć torbę, wsiadł do niego, zapalił silnik i przedstawił go o parę metrów dalej.

Stanęliśmy na starcie obok siebie, ramię w ramię.

-Proszę przegraj – patrząc w ziemię powiedziałem cicho.

Gordon odparł zimno – Dlaczego kolego mam się dać zabić?

-Proszę – kontynuowałem próbując spojrzeć mu w oczy błagalnie- To nie chodzi o mnie ale moje dzieci, żona...proszę...

Gordon odwrócił się do mnie na wprost i taksując wzrokiem wycedził; -Ja też miałem rodzinę Panie Steiner, żonę i dziecko, małego chłopca, moje dzieciątko. I pewnego dnia zadzwonił telefon, że mieli wypadek, cały mój świat się zawalił, caluteńki, marzenia, nadzieje... a wystarczyło Panie Steiner odsunąć ten kamień, wystarczyło się zatrzymać – łzy pociekły mu po twarzy, otarł je ze złością energicznie i stanął ponownie na linii startu patrząc szklistym wzrokiem gdzieś daleko przed siebie.

Czułem jak moje nogi robią się jak z waty a w żołądku rośnie kula strachu. Świat zawirował, przyklęknąłem machinalnie czując, że mogę zemdleć.

Pięć lat temu nocną porą gdy mrok otulał już miasto spieszyłem się do rodziny po wyczerpującym dniu pracy. Byłem zmęczony, chciałem się wreszcie odprężyć przy kominku, z lampką wina, byłem już myślami przy nich. Ruch był mały, zaledwie kilka samochodów z naprzeciwka. Jechałem szybko ale zwolniłem skręcając w ślimak do mojej dzielnicy. Nagle coś błysnęło przez sekundę w blasku reflektorów. Coś co wypukłym kształtem nie pasowało do gładkiej jezdni lekko przyprószonej wirującymi płatkami śniegu. Instynktownie wyminąłem to coś.

Ułamki sekund wahałem się aby się zatrzymać. A może to nie brudna kula śniegu, która oderwała się spod nadkola jakieś ciężarówki tylko duży kamień? Jeśli ktoś w niego uderzy może coś się stać...Eee przecież każdy to wyminie, zauważy, nie chce mi się zatrzymywać, wychodzić na zimno i sprawdzać co leży na ziemi skoro już tylko parę kilometrów dzieli mnie od domu. Nie mam czasu...

Wyjeżdżałem już z rozjazdu gdy usłyszałem mimo muzyki w aucie potworny huk. Jakaś olbrzymia kula stali przeleciała z impetem barierkę i spadła tuż przed moim skręcającym w prawo samochodem. Niekontrolowanie wrzasnąłem z emocji.

Auto gruchnęło na dach, zgniotło się jak puszcza po napoju i przewróciło na prawy bok. Olbrzymi hałas zastąpiła nagle cisza. Słyszałem tylko moje radio grające jakiś rockowy przebój i mój przyspieszony oddech.

Wysiadłem z wozu włączając awaryjne światła, podbiegłem do rozbitego samochodu. Przecież ktoś musiał go kierować. Bałem się czy nie wybuchnie ale jednak odruch niesienia pomocy był silniejszy.

Pojazd wyglądał jak nadepnięta przez słonia plastikowa zabawka...wszędzie leżało szkło z rozbitych szyb jakieś kawałki karoserii, lusterko, tablice rejestracyjne. Nie myśląc wiele chciałem się wspiąć na górę i zajrzeć do środka z którego złowróźnie nie dobiegał żaden odgłos. Pokaleczyłem tylko palce próbując dosięgnąć drzwi pasażera będących teraz dachem auta.

Za mną zamigały światła kolejnego samochodu. Wysiadło z nich dwóch ludzi. Pasażer widząc co się dzieje natychmiast sięgnął po telefon a kierowca dobiegł do mnie zaaferowany i widząc moją bezradność w próbach dostania się do środka wskazał na tył wozu.

-Tylna szybą! Szybko!

Obiegliśmy auto. Tylna szyba była również w drobnym maku, gdzieś tam wystawały tylko kawałki szkła.

Zrobiło mi się słabo. Dostrzegłem oprócz kierowcy, sterty długich kobiecych kruczoczarnych włosów zwisających beładnie wraz z ciemnoskórą głową z upręży pasów, fotelik dziecka... Wyrwany i rzucony potworną siłą uderzenia niczym kostka do gry sturlana ręką gracza, wciśnięty gdzieś między fotel pasażera a obramowanie szyby i szorstką powierzchnię jezdni...

Policja zabezpieczyła teren. Przesunięto nasze auta i przygotowano objazd. Jakiś krawężnik stał i kierował nim zamaszystymi ruchami ręki.

Wszystko było oświetlone mocnymi lampami. Fotograf pstrykał zdjęcia we wskazanych przez szeryfa punktach. Robili oględziny miejsca wypadku. Straż rozcięła samochód aby wydobyć ludzi. Widziałem tylko jak koroner kiwa z niedowierzaniem głową ...Nie żyli.

- Znaleźliśmy u góry spory kamień – podszedł do mnie zastępca szeryfa podając mi ciepłą kawę w kubku. Poznał mnie. Zналиśmy się z sali sądowej i paru prywatnych spotkań- Nie zauważyłeś go jak tam jechałeś? –spojrzał mi w oczy przygryzając wargę.

-Widziałem coś – odparłem pocierając wierzchem dłoni czoło – wydawało się, że to jakaś duża bryła śniegu... Skąd głąz tam u góry?

-nie wiem – wzruszył ramionami – wiemy tylko, widać po śladach, że najechali na to prawym przednim kołem, podbiło ich, uderzyli w górną część barierki zderzakiem, obróciło ich do góry nogami i zlecieli na dół... nie mieli szans – rozłożył bezradnie ręce.

Wpatrywałem się w dwa czarne bodybagsy oświetlane co sekunda sygnałem z wozów służb szeryfa...

Gdybym się zatrzymał i sprawdził...

Wszystko do nas powraca niczym fala przyboju. Dobro oddane jako dobro, abyśmy utwierdzili się w przekonaniu, że czynić je to wartość najwyższa lub jako zło abyśmy zrozumieli, że ludzie są różni a świat kwaśno gorzki.

Czasem zrobimy coś co nie jest ani dobre, ani złe ale może zmienić całe nasze życie i wrócić do nas niczym niewidzialny bumerang walący nas z całą w bebechy tak, że tracimy oddech.

Tak było właśnie teraz.

Ustawiłem się na start czując się jakbym śnił, jakbym był obok obserwując z ciekawością dwóch ludzi, białego i czarnego, Ying i Yang świadomości, wiedzy, umiejętności i przeżyć. Byłem jak oblicze Janusa, jak alter ego Gordona stojącego dumnie na początku naszego wyścigu, strząsającego z nóg i rąk niewidzialne krople deszczu...

Byłem w szoku ale musiałem się pozbierać i to natychmiast. Głowa od nadmiaru wrażeń pulsowała dzik-

Wdech, wydech, zamknięte oczy, spróbuj od siebie odsunąć wszelkie myśli. Teraz liczy się tylko kwestia jak wygrać.

Wszystko trwało może minutę, może półtora od wyjścia z obozu jak Tang w końcu zadysponował; - do startu, gotowy – i bach! Wystrzelił w powietrze.

Pierwsze okrążenie.

Ruszyliśmy. To nie kłus na sto metrów, tu nie biegnie się poniżej 10 sekund. Tu decyduje rozplanowanie sił i myślenie.

Machina ruszyła. Mięśnie, stawy, krążenie, oddech. Wszystko przyzwyczajone do wysiłku, wszystko drzemiące by poddać się woli człowieka. Ale wszystko może pokonać stres.

Biegliśmy na początek truchtem. Nikt z nas nie ryzykował szaleństwa i nie udowadniał swej siły. Mój plan był taki, że chcę się trzymać blisko Gordona by na ostatnim okrążeniu dać z siebie wszystko. Byłem za jego plecami obserwując rytmiczne kołysanie ciała przeskakującego z nogi na nogę.

-Dlaczego mnie obwiniasz? – krzyknąłem z wyrzutem.

Nie odpowiedział. Biegł dalej lekko przyspieszając.

- Ja nie rzuciłem tego kamienia, ja nie jestem winny! Pomyśl! – złość, lęk, depresja zaczęły znów wypływać na powierzchnię. Wiedziałem, że to dla mnie wyrok drażnić Gordona ale jednak mózg nie potrafił pracować racjonalnie.

Znów milczenie. Ale po chwili rzucił do mnie nie odwracając głowy.

-Wystarczyło się zatrzymać panie Steiner, wystarczyło tylko tyle – był spokojny, opanowany, biegł a właściwie płynął przede mną, pracując mięśniami niczym bohater z greckiego eposu.

Drugie okrążenie.

Minęliśmy Tanga, bramę i wóz Gordona.

Rozpacz powoli wpełzała w moje trzewia. Przerazenie paraliżowało serce. Byłem fizycznie silny i gotowy wybiegać dużo więcej niż te śmieszne 10 kilometrów ale stawka, obawa przegranej niszczyła mi psychikę a to wybijało mnie z rytmu biegu.

Biegliśmy w milczeniu nadal obok siebie ale zamiast skupiać się na nim przylapywałem się coraz częściej na zamyśleniu i wytrąceniu tempa oddechu i kroku. Niby wyuczzone nawyki trudno było wyrugować ale panika pustoszyła moje umiejętności.

- Boże, może zawiniłem, może ...ale jesteś sobie pewien? Ty zatrzymałbyś się? Nie wierzę! – warknąłem.

-Może nie – odparł – ale jakie to ma znaczenie? Chcesz mnie porównywać do siebie białasie?

Biegliśmy dalej w ciszy.

-Zrozum – znów próbowałem drżącym głosem licząc na jego zrozumienie, tym razem się tłumacząc – Gdybym mógł cofnąć czas, gdybym mógł znowu się tam znaleźć... Przecież nie planowałem, że ktoś zginie...nie przepuszczałem, że ...- nie wiedziałem co powiedzieć. Że co? Że moja ignorancja doprowadziła do tragedii ? Dlaczego miałem mieć poczucie winy skoro los tak sprawił. Jaki miałem mieć wyrzut sumienia z powodu tego, że nieświadomie komuś nie pomogłem? Dla mnie to był absurd. Czy miałem przewidywać wszystko co może przynieść każdy mój czyn i to czyn absolutnie nie robiony z premedytacją?

-Chcesz zemsty na mnie? – ciągnąłem dalej ze smutkiem- Ale dlaczego też na mojej rodzinie? Co oni tobie zrobili? Są niewinni...- załamał mi się głos.

Gordon nie reagował nadal pracując jednostajnie mięśniami niczym tłokami w silniku.

- Moja żona i dziecko też byli niewinni.

Trzecie okrążenie.

- Więc dobrze to moja wina-parsknąłem. Chciałem go wyprowadzić z równowagi, sprawić by przestał być tak perfekcyjnie opanowany i zaczął popełniać błędy. – Rzuciłem ten kamień specjalnie, miałem zły dzień, chciałem się rozładować... – czekałem w napięciu na jego reakcję. Stanie? Rzuci się na mnie ze wściekłością?

-Bredzisz – odrzekł tylko lekko zirytowany – nie rzuciłeś żadnego kamienia specjalnie prawniku. On był już tam jak przejeżdżałeś. Oglądałem monitoring.

Jak skała niewzruszony.

„Jezu!” trwożyłem się „jak mam go pokonać?”

Jeśli już teraz myślę w ten sposób, ustawiam się na przegranej. Dlaczego ? Co brakuje mi aby widzieć siebie jako zwycięzcę? Przecież wygram! Muszę wygrać!

Przegoniłem go. Narzuciłem większe tempo. Teraz to on był za moimi plecami. Uwierzyłem w siebie w swój oddech, siłę. Krew przelewała się przez tętniące serce, pot wystąpił na ciało, obciążone stopy uderzały raz po raz o ziemię.

Czwarte okrążenie.

Zostawał w tyle, metr, potem dwa.

Ale biegł nadal z jakimś takim spokojem, jakby stawką nie było jego życie ale sztubacki zakład o hamburgera na stacji benzynowej.

Biła od niego pewność siebie.

A niech tam, zarozumiałość to tylko go zgubi, wygram, choćbym miał biec na jednej nodze, choćbym miał pełznąć do mety...

- To nie twoja wina – obudził mnie niespodziewanie z zadumy. W jego głosie nie było słycać cienia

zmęczenia, nie było też słycać wyrzutu, ot stwierdził fakt – Mam żal... śnię po nocach, że stajesz odwalasz ten gład, albo włączasz awaryjne światła i moja żona mija ciebie uśmiechając się przyjaźnie a mój syn macha do ciebie ręką ... mam żal, że tak nie zrobiłeś.

- I to usprawiedliwia to co robisz?! Łapiesz bogu ducha winnych ludzi i skazujesz ich na śmierć?! Ile rodzin masz na sumieniu człowieku?!

- Nie wiedziałem o tym głównie...

-Mam ci wierzyć?! – byłem coraz bardziej rozdrażniony – masz ich krew na rękach! Zabiłeś ich morderc-!

Dobiegł do mnie bez dużego trudu, pchnął ręką na bok i rzucił się na mnie, zwałił całym ciałem, przedramieniem uciskając mi szyję a drugą ręką dając potężnego kuksańca w lewy bok.

-Nie wiedziałem! - wrzasnął. Mimo bólu próbowałem go zrzucić z siebie. Strażnicy którzy to mogli dostrzec zaczęli się śmiać i mówić coś po chińsku w radosno prześmiewczym tonie. Pewno cieszyli się, że skoczyliśmy sobie do gardła.

Wsadziłem mu kolano w krocze, jęknął, poluźnił uścisk i uklęknął. Złapałem głęboki haust powietrza i odepchnąłem go uwolnionymi rękami na ścieżkę wokół muru. Próbowałem wymierzyć mu kopniaka w twarz ale wtedy seria z karabinu maszynowego obok nas ostudziła nasz zapał do walki.

Dyszząc wstaliśmy obaj.

-Nie wiedziałem! -krzyknął ponownie podkreślając swoje słowa przeczeniem głową – nie wiedziałem ...- powtórzył ciszej, wyraźnie zmieszany.

Nie czekałem biegle. Byliśmy o krok od mety.

Piąte okrążenie.

Teraz za chwilę ktoś z nas zdecyduje niczym sam Bóg kto będzie dalej żył a kto odejdzie. Byłem parką trzymającą w rękach nić życia swojej rodziny, chybotwała się z każdym moim krokiem, ostre nożyce nicości zbliżały się to oddalały od nich z każdym kolejnym uderzeniem stóp.

Znowu przyspieszyłem.

Bok bolał. Z satysfakcją słyszałem że moje kolano też zrobiło swoje z jego pachwiną. Już nie był taki doskonały.

Wiał lekki wiatr, w oddali wirowały jakieś resztki papierów, gdzieś tam dalej za linią nagiego terenu, za granicą obozu, toczyło się normalne życie, ludzie śmiali się, martwili, zajmowali drobnostkami dnia a my tu toczyliśmy pojedynek na śmierć i życie. Zwykły poranek dla jednych może być czymś niezapomnianym dla innych.

-Przepraszam Gordon – krzyknąłem do tyłu – Ja MUSZĘ wygrać!

Nic nie odpowiedział.

Jeszcze kilometr, słyszałem jak miarowo biegnie za mną z tyłu. Cały czas byłem zagrożony.

800 metrów płuca palą, krew wrze, przyspieszam mimo, że organizm wyje o pomoc.

Gordon nie reaguje, mam już 3 metry przewagi.

600 metrów wierzę, że wygram! Nie ma innej opcji. Gordon 4 metry za mną.

400 metrów słyszę świst powietrza w płucach mego przeciwnika. Zalewa mnie zimny pot, dostaję gęsiej skórki, biegnę jak szalony ostatnie sekundy, a Gordon niczym tur, dochodzi do mnie jest naoliwioną lokomotywą tnącą powietrze wyrzutami ramion.

Zrównuje się ze mną.

-Bardzo ich kochałem - nie patrzy mi w oczy – wiedz, że pokonałbym ciebie bez trudu. Chcę aby się te gnoje nie domyśliły, że planowałem szopkę, dlatego nic ci nie mówiłem. A teraz zrób mi przysługę i biegnij dla swych bliskich ile masz siły w nogach. To mój testament.

Biegłem oszołomiony. Nie dotarło do mnie do końca co usłyszałem, łyzy drążą drogę po policzkach. Biegliśmy równo. 300 metrów, dwieście, sto...

- Każdy ma czas na swoją śmierć. Już czas żebym do nich dołączył, żegnaj ...

Byłem wytrawnym biegaczem. Nie mógł zwieść mnie ale ich mógł oszukać.

Udał, że traci siły i lekko zwolnił, dając mi krok przewagi.

Wbiegłem pierwszy.

Otoczyli nas strażnicy. Jedni radośni inni wściekli, moi i jego fani.

On stanął oddychając miarowo, oparł ręce na bokach i spojrzał mi głęboko w oczy.

Drżałem, łyzy płynęły dalej. Strażnicy myśleli, że to ze szczęścia...

A ja płakałem bo uwierzyłem w człowieczeństwo.

Tak bardzo chciałem go objąć, jak brata, najlepszego przyjaciela.

Trwało to sekundy. Mierzyliśmy się wzrokiem ja wyrażając cały swój ból i wdzięczność on tylko przy-mknął powieki jakby chciał powiedzieć „nic to, ok bracie” i uśmiechnął się jak zwykle to czynił.

Nie przestał nawet gdy Tang wymierzył mu w twarz i wypalił.

Nie wiem czy Tang dotrzymał obietnicy. Nie zobaczyłem żony ani dziecka. Tang twierdził, że nic im nie jest jak będę dobrze pracował zobaczę ich.

Ślepo wierzyłem, że żyją nie miałem żadnych wątpliwości. Nie mogło być inaczej, ofiara Gordona nie

mogła być daremna. Bóg nie mógł być tak okrutny, żeby jego szlachetność zmarnować ... Dał mi dar. Musiał umrzeć abym bardziej docenił własne życie.

Przez ten miesiąc od tamtych wydarzeń Tang zrobił mnie swoją prawą ręką. Byłem jakby „brygadziwą”, wykonując posłusznie wszelkie rozkazy. Miał mnie przecież w garści.

Zeszliśmy na apel. Wyznaczone miejsca. Dwuszereg. Podeszedł Tang.

Wskazał na mnie palcem.

-Ty, chodź ze mną.

Wystąpiłem z szeregu. Chwycił mnie pod łokieć, na wół ciągnąc na wół zapraszając aby iść z nim w kierunku zabudowań strażników.

-Chodź, chodź- zachęcająco wskazywał głową przed siebie.

Nie wiedziałem o co mu chodzi ale coś mi już świtało w głowie.

Podeszliśmy do kantyny.

- Ty nie widzieć swoja rodzina od wyściga.

Boże, pomyślałem wreszcie! Przymknąłem tylko oczy nie chcąc dać poznać jak bardzo cierpię.

-Dzisiaj ty ich spotkać. Ty iść ze mną.

I pchnął mnie w stronę bunkra.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

spawngamer, dodano 05.02.2014 05:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.